

„Już 12 września 1939r. doszły nas słuchy, że Niemcy zajęli Lubaczę. Jak bańka mydlana przysły twierdzenia wielu, że Polacy będą się bronić na linii San- Wisła. Tymczasem od razu następnego dnia okazało się, że nieprzyjaciel niepowstrzymanym marszem posunął się przez Narol ku Bełżcowi. Okrążał zatem nasz powiat od południa, jakby chciał odciąć odwrót rozbitym i cofającym się oddziałom polskim do Małopolski Wschodniej, gdzie zdaniem rzekomo wtajemniczonych, miała się przygotowywać kontrofensywa. Te wojska polskie, które zatrzymały się w wioskach gminy rachańskiej, majdańskiej i jarczowskiej, miały być tylko forpocztami. Słuchaliśmy takich i podobnych wieści z nadzieją, że szczęście wojenne odwróci się od Niemców, i że nasi wyprą ich poza granice."

Tak zaczyna się książka Janusza Petera, która jest zbiorem relacji ustnych i pisemnych o wydarzeniach z czasów okupacji na terenie miasta i powiatu tomaszowskiego. W ten sposób chciał on ocalić od zapomnienia relacje naocznych świadków tych wydarzeń. Spośród 105 artykułów, relacji i wspomnień 95 jest autorstwa byłych partyzantów AK i BCh. Autorem 9 jest dr Janusz Peter.

Janusz Brodowski w posłowie tej książki tak pisze o jej losach: „Maszynopis tej pracy liczy 931 stron. Jest więc ona bardzo obszernym materiałem opisującym wydarzenia z okresu okupacji w powiecie tomaszowskim i w samym mieście. Dlaczego nie została wydana? Dlaczego po śmierci doktora Petera tajemniczo zniknęła? Ówczesne władze nie były zainteresowane jej wydaniem. Zawierała relacje byłych partyzantów z oddziałów AK i BCh, podporządkowanych rządowi londyńskiemu. Władze zainteresowały się nią w inny sposób. Jeden z egzemplarzy maszynopisu znalazł się w posiadania Urzędu Bezpieczeństwa. Można się tylko domyślać w jakim celu. Żona doktora Petera, po jego śmierci ukryła pozostałe egzemplarze. W 1970 roku nie powiadamiając o tym nikogo przekazała je Głównej Bibliotece Lekarskiej Warszawy. Jeden z egzemplarzy tej pracy odnalazł się w zbiorach Wojewódzkiego Archiwum Państwowego w Zamościu.

O odnalezieniu maszynopisu powiadomiłem Zarząd Tomaszowskiego Towarzystwa Regionalnego w Tomaszowie Lubelskim. TTR przy pomocy finansowej Miejskiej Rady Narodowej w Tomaszowie Lubelskim i Wydziału Kultury i Sztuki UW w Zamościu postanowiło wydać pracę drukiem w wersji oryginalnej."

Ta książka właśnie leży na moim biurku, kiedy piszę tę pracę. Skąd ją mam? Już wyjaśniam od początku.

Parę dni temu szukając bohatera mojej pracy zawitałam do pani Zofii Groma zamieszkałej w Nowosiólkach. Poszłam tam, bo wiedziałam, że jej, nieżyjący już, ojciec był żołnierzem AK. Zastałam ją siedzącą z jej kuzynką przy stole, założonym stertą książek. Jak się okazało przyszłam w bardzo odpowiednim momencie. Kuzynka pani Zofii poszukiwała ciekawych wydarzeń z dawnych czasów związanych z Nowosiólkami i okolicami. Jej mąż prowadzi stronę internetową poświęconą właśnie tej wsi. Mnie interesował tylko temat działalności AK. Otrzymałam więc na początek zdjęcie pana Antoniego Gromy i szykowałam się na długą opowieść o nim. Ścisnęłam w ręce gruby plik papierów i długopis, myśląc, że oto za chwilę popłynie barwna relacja z dramatycznymi epizodami. Ale nic takiego się nie stało. Córka pana Gromy z przepraszającym uśmiechem powiedziała, że tak naprawdę to niewiele może mi opowiedzieć. Jak to często bywało w tamtych czasach, najpierw, tuż po wojnie, nie

można było tym się chwalić. Groziły za to szykany i kary, no i pani Zofii nie było jeszcze na świecie. Jako mała dziewczynka niewiele z tego rozumiała. Jeszcze później, w szkole podstawowej i średniej, był to temat wciąż zabroniony. W domu ojciec czasem coś opowiadał, ale młodość ma to do siebie, że nie potrafi cierpliwie słuchać starszych. W rezultacie pani Zofia niewiele pamięta. Oczywiście bardzo żałuje, że nie zapisywała tych opowieści. Ale jak to w życiu bywa, człowiek ciągle gdzieś się spieszy i na później odkłada to, co jest bardzo ważne. Potem przychodzi refleksja, że to już jest stracone na zawsze. Przecież świadków tamtych wydarzeń jest coraz mniej. W końcu nikt nie pozostanie i ich wspomnienia umrą razem z nimi. Trzeba spisywać i nagrywać to, co jeszcze możemy. Na pocieszenie pani Zofia powiedziała mi, że pamięta o jednej akcji oddziału, w którym służył pan Groma. To był atak na gorzelnię w miejscowości Liski. Gorzelnia była własnością Niemców. Może wyjaśnię po co partyzantom potrzebny był spirytus w tak dużych ilościach. Chodziło oczywiście o handel wymienny. Spirytus wymieniano na broń. Nie okłamujmy się, sobie też zostawiali.



Pan Antoni Groma (pierwszy z prawej) z kolegami z partyzantki.

Atak na gorzelnię powiódł się bez żadnych strat w ludziach. Kiedy szykowałam się do powrotu, pani Groma sięgnęła po jedną z leżących na stole książek i powiedziała, że są w niej opowieści o walkach na tych terenach. To była właśnie książka Janusza

Petera pod tytułem „Tomaszowskie za okupacji”. Wzięłam, podziękowałam i w domu zaczęłam ją czytać. Żeby przeczytać ją całą czasu było mało, ale spjrzałam na tytuły rozdziałów i jeden z nich pod tytułem „Potyczka pod Nowosiólkami” wydał mi się najbardziej dotyczący moich terenów. W tekście pojawiło się nazwisko Władysława Masłowskiego. Zaintrygowało mnie to, bo wiedziałam, że prababcia pochodziła z rodziny Masłowskich. Zapytałam o to mamę. Okazało się, że to bratanek prababci i zaraz potem mama przypomniała sobie historię, którą swego czasu bardzo często opowiadała prababcia. Teraz, po przeczytaniu tej relacji w książce i posłuchaniu uzupełnień mamy, przedstawiam ją w mojej pracy.

Najpierw musi nastąpić relacja naoczego świadka Bolesława Wronki ps. „Ryś”. Nie będę jej podawała w skrótach, bo nawet najbardziej mistrzowski skrót nie dorówna wersji oryginalnej. Jeszcze tylko wspomnę, że Bolesław Wronka był stryjem mojego obecnego sąsiada. Byłam tam z prośbą o jakieś informacje o nim, ale niestety nie posiadają żadnych pamiątek. Fotografie zaginęły, a inne dokumenty z konieczności musiały być zniszczone. W książce tytuł tego opowiadania brzmi „Potyczka pod Nowosiólkami”. Ja ze względów osobistych, pozwoliłam sobie nadać urywkowi tego opisu własny tytuł, a brzmi on „Nie płacz już, mamó”.

„W Kolonii pod Nowosiólkami kwaterowały dwa plutony partyzantów pod dowództwem st. sierż. „Beli”. Dnia 21 marca 1944 roku otrzymał „Bela” rozkaz od „Drugaka” zniszczenie samochodu z żandarmami. Miał on przejeżdżać z Telatyna do Nowosiółek, przypuszczalnie między godziną czwartą a ósmą. Ci, którzy znali- jak to się mówi niemal każdą koleinę na tej drodze, poczęli zastanawiać się, w którym miejscu było najdogodniej urządzić zasadzkę. Najodpowiedniejszym wydał się wąwóz niedaleko Nowosiółek. Biegła w nim droga nieosłonięta krzakami od strony Kolonii, poza tym można było stamtąd doskonale obserwować zbliżanie się pojazdu. Upatrzone miejsce znajdowało się na łagodnym stoku, który opadał w stronę Telatyna w zagłębienie, po którego bokach ciągnęły się łąki. Poza nimi rozpoczynał się stok przeciwnego wzniesienia. W wypadku przeważających sił mieliśmy do wyboru: przepuszczenie wroga bez zaczepki, rzucenie się nań podczas powrotu lub wycofanie się po nagłym zaskoczeniu.

O trzeciej w nocy wyruszyliśmy z kwater w sile 14 ludzi z 3- ma erkaemami. Wpół do czwartej byliśmy już na miejscu i zajęliśmy dogodnie stanowiska powyżej wąwozu, w połowie stoku, tuż nad samą drogą. Schowani w krzakach czekaliśmy blisko trzy godziny na przejmującym do szpiku kości wietrze. Dokuczał on nam tym bardziej, że niemal każdy miał przemoczone buty, wiatr zaś zdawał się dosłownie przewiewać na wylot ciało. Kiedy niebo przejaśniło się na tyle, że widoczne stały się zarysy chałupy, o kilkadziesiąt kroków, podzieliliśmy się na dwie grupy, z których każda na przemian miała się w niej ogrzać. By nie zdradzić naszej obecności dymem z komina paliliśmy snopki w powietrzu, zatknięte na koniec kija. Ogrzani staliśmy się senni jak borsuki. Nadszedł błydy świt, potem rozwidniło się na dobre. Minęła i ósma godzina, a auta ani słychu. Przypuszczaliśmy, że albo wywiad był mylny, albo też, że Niemcy coś zwęszyli, w końcu, że zmienili zamiar. Klnąc na czym świat stoi wracaliśmy do kwater, kiedy jeden z kolegów nadstawiający uszu zakrzyczał:

- Jadą! Jadą psiekrwie!



Tak współcześnie wygląda miejsce, w którym rozegrała się potyczka z Niemcami.

Kiedy pomknęliśmy ku stanowiskom, samochód zjeżdżał już z sąsiedniej góry. Ilu było Niemców, tego oczywiście nie mogliśmy wiedzieć. Staliśmy kilka sekund jak wryci, potem bez jakiegokolwiek rozkazu poderwaliśmy się biegiem, by jadącym przeciąć drogę. Kierowaliśmy się jednak nie ku krzakom, leżącym po przeciwnej stronie drogi, gdyż na oko obliczyliśmy, iż nim dobiegniemy do drogi, wóz znajdzie się poza wąwozem. I to pod szczytem góry, który znajdował się niemal na wprost widniejącej w dali wioski. Rwaliśmy rozsypując się w tyralierę. Jeden erkaem znalazł się pośrodku. Dwa pozostałe pomknęły na skrzydła. Dopiero gdy przebyliśmy połowę przestrzeni dzielącej nas od drogi „Słowik” wbiegł, wydał rozkaz:

- Podejść jak najbliżej do drogi! Strzelać dopiero wtedy, gdy samochód znajdzie się pośrodku naszej tyraliery!

Zanim jeden drugiemu powtórzył rozkaz, samochód minął prawe skrzydło, które zostało nieco w tyle, podczas gdy lewe zbliżyło się na jakieś 20 kroków od drogi. Czy Niemcy nas nie zauważyli? Czy siedzieli cicho dając niejako do zrozumienia, że nie

chęcią z nami mieć do czynienia? - nie wiadomo, dość, że z ich strony nie padł żaden strzał. Gdy samochód znalazł się na samym końcu lewego skrzydła krzyknąłem do środkowego erkaemisty:

- Strzelaj w motor. Zajmę się szoferką.

Po tych słowach padłem niemal jednocześnie z „Kępą” na ziemię i obaj pociągnęliśmy za spusty maszyny. Wystrzeliwszy połowę magazynku dostrzegłem poprzez wybitą szybę w szoferce, jak głowa Niemca powoli opadła na piersi. Samochód stanął momentalnie, a spod brezentowego okrycia poczęli wyskakiwać żandarmi jeden po drugim i natychmiast padać plackiem na ziemię. Grzaliśmy ile weszło, lecz Szwabi byli bezpieczni. Jezdnia bowiem znajdowała się niżej niż pole, z którego atakowaliśmy. Dopiero wtedy zdaliśmy sobie sprawę, że znaleźliśmy się w daleko niebezpieczniejszej sytuacji od wroga. Byli bowiem zakryci burtą przydrożną i tkwili w głębokim wąwozie. Mogli z niego do nas celnie prażyć, bo nasze sylwetki rysowały się wyraźnie na śniegu. Poczęliśmy się cofać. Na szczęście Niemcy potracili głowy. Zamiast nacierać strzelali w górę. Wytworzyła się wcale śmieszna sytuacja strategiczna typu: chwycił Kozak Tatarzyna, a Tatrzyn za łeb trzyma. Pomimo ich niedołęznej obrony mieliśmy i my straty. Trzeci kolega od lewej strony znieruchomiał. Opodał niego stękał „Filip”. Kiedym chciał przypatrzeć się komu to anioł śmierci zamknął oczy, nagle śnieg zmieszany z błotem zasypał mi całą twarz.”

Tu kończymy ten cytat, bo zatrzymamy się na słowach „Komu to anioł śmierci zamknął oczy”. W wyjaśnieniu autora jest napisane krótko, że był to Władysław Masłowski. Tego dnia Nadzieja i Józef Masłowscy utracili swoje jedyne dziecko, najukochańszego syna Włodzia, bo tak go nazywali. Dla rodziców to był ogromny cios. Ojciec znosił ból po męsku, matka zaś ciągle płakała. Trwało to już około pół roku, kiedy wydarzyło się coś dziwnego. Przytoczę tutaj opowieść, która krąży w rodzinie. Otóż pewnej nocy matce przyśnił się syn, ona twierdziła, że było to widzenie. Nikt tego nie brał poważnie, bo uważano, że z ropaczy doznała pomieszania zmysłów. Śniło jej się, że przyszedł do niej i prosił, żeby już nie płakała, bo jej łzy spadają na jego mundur. Żalił się, że przez jej łzy jego mundur jest ciągle mokry, a kolegów mundury są suche. Wstrząśnięta tym snem czy też, jak ona twierdzi, zjawą pogodziła się ze śmiercią syna. Przytłumiony żal w niej pozostał, ale już tak nie rozpacziała.

Straszna to była wojna, bo przecież ta historia jest tylko kroplą w morzu cierpienia ludzkiego.

Plutonowy Władysław Masłowski ps. Morus- żołnierz kompanii AK „Szarfy”, poległ 16 marca 1944 roku pod Nowosiólkami w walce z Niemcami.



Ze swej strony czuję wdzięczność dla doktora Petera, że utrwalił wspomnienia o nim.

Przed ukończeniem pracy konkursowej byłam w Tomaszowie Lubelskim, aby wywołać potrzebne mi do niej zdjęcia. Wstąpiłam też do kościoła, aby się chwilę pomodlić i nagle mój wzrok padł na tablice pamiątkowe wiszące na ścianie. Jedną z nich była tablica poświęcona doktorowi Januszowi Peterowi. Przytoczę to, co na niej wyczytałam:

„Non omnis moriar” głosił łaciński napis,

a dalej po polsku:

„Nie umarł wszystek, dzieło jego i pamięć o nim pozostały”.

Bóg Honor Ojczyzna
Dr Janusz Peter ps. Krodian
1891-1963

Dyrektor szpitala w Tomaszowie Lub.
1927-1963
Członek Batalionów Chłopskich i Armii Krajowej
1942-1944
Twórca Muzeum Ziemi Tomaszowskiej
Zasłużony dla Tomaszowa Lubelskiego oraz regionu
Lekarz i społecznik
Odznaczony
Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski
Złotym i Srebrnym Krzyżem Zasługi
Krzyżem Partyzanckim
Niech spoczywa w pokoju
Inicjatywa S.Z. Żołnierzy Armii Krajowej i społeczeństwa Tomaszowa.

Teraz dopiero przypomniałam sobie, że mijałam jego pomnik stojący na placu w centrum Tomaszowa. Taki niepozorny, drobnej budowy pan ze słuchawkami lekarskimi, siedzący na ławeczce. Więc to jest pomnik sławnego doktora Petera! - pomyślałam. Poprzez pisanie tej pracy stał mi się bardziej znany, a jego zasługi dla miasta i regionu napawają mnie, mieszkankę powiatu tomaszowskiego, dumą.

Wracając do domu, zrobiłam pomnikowi zdjęcie i pomyślałam: „Panie doktorze, jest pan wielki”, chociaż na tej ławeczce niczym szczególnym się nie wyróżnia. Tak sobie siedzi i przygląda się swojemu miastu. Obiecuję, że czasem przysiędę przy Panu, popatrzymy sobie razem.

